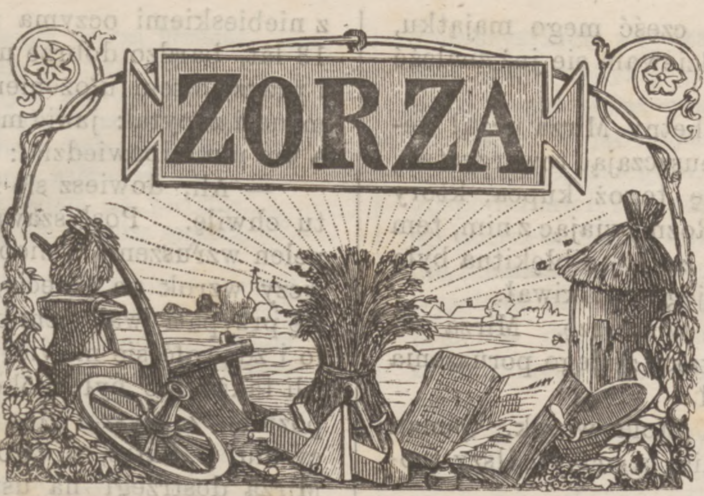
№ 22.

Rok 3.

CENA:

w Warszawie:
miesięcznie kop. 15 Złp: 1
w Królestwie i Cesarstwie
pod opaskami
gwartalnie kop. 62. (Złp. 4 2r. 4.) półrocznie rs. 1 kop. r4. (Złp. 8 gr. 8.) rocznie as. 2 kop. 48. (Złp. 16 gr. 16).
W kopertach półrocznie rsr 1 kop. 70. (Złp. 11 gr. 10). rocznie rs. 3 40, (Złp 22 g. 20).



WARSZAWA

18 (30) Maja

1868 r.

Prenumerować można **Zorzę**:

w Warszawie w Redakcji Nr. 24 (nowy) ulica Nowy-świat. — na prowincji w Królestwie: po Stacjach pocztowych. W Cesarstwie po Stacjach pocztowych lub za zgłoszeniem się listownem do Redakcji w Warszawie. (Nr. 24 ulica Nowy-Swiat) końcową należność można nadsyłać markami pocztowemi.

PISMO NIEDZIELNE

DLA LUDU MIEJSKIEGO I WIEJSKIEGO.

„Czyń każdy w swojem kółku, co każe duch Boży,—A całość sama się złoży."—*Kazimierz Brodziński.*

ZNALEZIONA ZGUBA

Powiastka Wschodnia.

W jednem arabskiem mieście żył człowiek nazwiskiem Mirza, który po sześcioletniem szczęśliwem pożyciu małżeńskiem, utracił swoją ukochaną żonę. Jedyną jego pociechą i skarbem najdroższym był czteroletni synek, najpiękniejsze na przyszłość dający nadzieje; kochał go też Mirza z nadzwyczajną czułością.

Lecz gdy raz wspaniały jakiś orszak przechodził przez miasto, mały Ali (tak się synek Mirzy nazywał) wybiegał na ulicę przypatrzeć mu się, a zanadto się do tłumu przybliżywszy, zniknął w nim i już się więcej nie pokazał.

Niepocieszony Mirza dokładał wszelkich starań w celu odzyskania syna; lecz niepodobna mu było powziąć jakąkolwiek o nim wiadomość.

W jakiś czas potem, straciwszy zupełnie nadzieję ujrzenia kiedykolwiek swego Alego, Mirza postanowił sprzedać swój dom, i wziąć się do handlu w obcych krajach, ażeby choć tym sposobem rozerwać swoją boleść. Będąc bardzo zdolnym do prowadzenia interesów, w krótkim czasie doszedł do znacznego majątku. Lecz strata syna zawsze mu ciążyła na sercu, myślał o nim bez przestanku, i niemógł ani w dzień ani w nocy odsunąć od siebie tych bolesnych wspomnień.

Pewnego razu podróżując za swojemi interessami handlowemi, wyjechał o świcie z gospody i na pustej jeszcze drodze znalazł wielką błękitną kiesę, pełną sztuk złota i diamentów; podniósł ją i rozmyślając w jak wielkiem strapieniu musi się znajdować właściciel tego skarbu, postanowił zatrzymać się w okolicy jakiś czas, ażeby się przekonać, czy nie będzie kto szukał tej zguby.

Na takiem oczekiwaniu zeszedł mu dzień w gospodzie; poczem nie widząc nikogo, udał się w dalszą drogę.

W cztery dni potem znajdował się już daleko, a gdy w zajezdnym domu zebrało się wielu kupców, zawiązała się między nimi rozmowa i zwróciła się na wypadki nieszczęśliwe, mogące spotkać podróżujących kupców.

—Niestety, odezwał się z westchnieniem jeden z obecnych, mogę wam opowiedzieć podobny wypadek, który mnie spotkał. Pięć dni temu zgubiłem w drodze worek

zawierający znaczną część mego majątku, i naturalnie, nie spodziewam się już znaleźć go kiedykolwiek.“

Na tę mowę szlachetny Mirza uczuł wewnętrzną radość, i opuszczając towarzystwo, zaprosił na wieczerzę tegoż kupca, który się nazywał Osman. Rozmawiając z nim, tem bardziéj się upewnił, że kiesa błękitna była tą samą, którą gość jego opłakiwał.

Gdy już kończyli wieczerzę, Mirza położył kiesę na stole tak, że jego poruszenia towarzysz nie widział.

Spostrzegłszy na stole worek, Osman oniemiał z zadziwienia, a przyszedłszy trochę do siebie,

— To ta sama! —wykrzyknął. Mirza się podniósł, uścisnął mu rękę i opowiedział, wjaki sposób znalazł ten worek. Osman uniesiony wdzięcznością, nie posiadał się z radości.

—Co za prawość! co za dobroć! powtarzał. Szlachetny człowieku! powiedz mi, jakim sposobem zdołam ci moją wdzięczność okazać. Jestem bogaty z twojej łaski, przyjm, błagam cię, połowę tego złota. Nie odmamiaj mi tego.... Nie chcesz... A więc jeźli odmawiasz przyjęcia dla siebie tego daru, nie wahaj się przyjąć go dla swoich dzieci, Czy nie masz syna! Chcę sam mu dowód mojéj wdzięczności wraz z błogosławieństwem ofiarować: odprowadzę cię aż do miasta, w którem zamieszkujesz. Na te słowa Mirza nie mógł łez swoich powstrzymać.

— Niestety—odezwał się—miałem jednego, jedynego syna, dziecko najpiękniejszych nadziei; kochałem je nad życie. Lecz już ośm lat minęło, jakem go utracił w niewiadomy sposób, i nie mogłem powziąć najmniejszéj o jego losie wiadomości.

Na tę mowę Osman zamyślił się nieco, późniéj zapytał się, ile miało lat dziecko w czasie, w którym Mirza je utracił, jak mu było na imię, i jak wyglądało.

— Nazywał się Ali, włosy miał jasne, oczy niebieskie, i na ustach znak po skaleczeniu nożykiem, którym się raz z nieuwagi zaciął. Osman szepnął słów parę swemu słudze, którego podług azjatyckiego zwyczaju dla posługi przy stole przyprowadził z sobą. Ten wyszedł i wkrótce powrócił z młodym chłopczykiem. Mały blondynek z niebieskiemi oczyma mogący mieć 12 do 13 lat, bardzo dobrze ubrany, z skromnem i przyzwoitem ułożeniem zbliżył się do Osmana i zapytał: jakie ma dla niego rozkazy, a ten mu odpowiedział:

— Ali, dowiesz się zaraz, zatrzymaj się tu chwilę. Posłyszawszy imię Ali, Mirza pełen wzruszenia i niepokoju zwrócił badawczy wzrok na dziecię, a im bardziéj mu się przypatrywał, tem bardziéj serce mu biło i zdawało się mówić: to twój syn. Młody Ali także nie był spokojniejszym, i wyznał późniéj, że słyszał głos wewnętrzny szepczący mu. „Patrz, to twój ojciec.“ Nareszcie Mirza dostrzegł na ustach chłopca lekką szramę; podnosi się, rzuca i całując Alego woła:

— To on! to mój syn! tak, to on niezawodnie!

Po pierwszych uniesieniach radości i pieszczot, Osman opowiedział, że dziecię to nabył za summę mało znaczącą od biednego człowieka, który je zbłąkane przygarnął w czasie pobożnej pielgrzymki, lecz za powrotem do domu żywić go nie miał za co.

— Zacny, wspaniały mężu! zawołał Mirza—patrz, jak szczęśliwy jestem, i tobie to szczęście winienem.

— Twojéj to cnocie—odpowiedział Osman — winien jesteś. Bóg sam prowadził cię tutaj, ażebyś odzyskał skarb, tak dawno utracony. Bóg także, który nie chciał, bym niewdzięcznym został, natchnął mnie przywiązaniem do Alego, żem go więcej za syna niż za niewolnika uważał. Wychowałem go w zasadach takich, że godnym jest posiadać ojca, jakim ty jesteś, drogi przyjacielu!

Z. K.

DZWON

PIOSENKA.

Gdym stał w dolinie z moją Haliną,
Dzwonie! ty brzmiałeś ponad doliną...
Wieczorna cisza ziemię owiała,
Na niebie złota zorza jaśniała,
Krętéj rzeczułki błyszczała woda,—
I nam jaśniała w duszy pogoda.

A dzon z kościoła uroczo brzmiał,
I echo ku nam po rosie słał,
I do zamglonych roznosił stron...
Ach! ten wspaniały harmonji ton,
Tak błogo duszę kołysał nam,
Tak biciu serca wtórował tam,
Że odtąd tęskny pytam się wiecznie,
Czemu tak więcéj nie brzmisz serdecznie?...

* * *

Drugi raz, dzwonie, brzmiałeś inaczéj!
Dzwięk ten mnie jeszcze dotąd przeraża...
Smutny, w drużynie szedłem wieśniaczéj
Do wrót otwartych w polu cmentarza—
Szedłem za truną mojéj Haliny,—
Ach! wcześnie uwiądł ten kwiat doliny...
Pomnę, z kościołka ozwał się dzwon...
Bijąc dla biednej Haliny zgon,—
Ale tak strasznie brzmiał głośny dźwięk,
Jak mojej duszy rozpaczny jęk...
I gdym samotnie nad grobem stał,
Tak znowu zgodnie w takt serca brzmiał,
Że odtąd jego każde już brzmienie
Głosi mi dawne, rzewne wspomnienie...

J. Gr.

JESZCZE WIADOMOŚĆ

O DRZEWACH NAJUŻYTECZNIEJSZYCH W GOSPODARSTWIE BOŻEM I LUDZKIÉM. (*)

przez

Wojciecha Jastrzębowskiego.

Ze wskazanych poprzednio trzech myśli urządzania szkółek leśnych i zakładania lasków wzorowych, najważniejsza jest myśl pierwsza, odnosząca się do urządzania szkółek dla lasów *w średniem położeniu* i do zakładania samychże tych lasów; a dla tego jest ona najważniejsza, że najprzód najwięcej jest miejsc na ziemi z takowem średniem położeniem, a zatém największa nastręcza się sposobność zakładania na nich takowych lasów lub poprawiania dawnych; powtóre, że drzewa stosujące się do tegoż położenia, jakiemi są głównie Sosna, Modrzew', Dąb i Brzoza odznaczają się, o czem wspomnieliśmy już wyżéj, największą łatwością uprawy, niewybrednością co do gatunku ziemi, na której mają rosnąć, przytem wytrwałością na ostrość klimatu; *potrzecie*, że wystarczają one dla człowieka do wszystkich zwyczajnych, tak we względzie budowlanym, grodziowym, porządkowym i opałowym, jak we wszelkim innym, nie wspominając o tykach do chmielu, smole, terpentynie, dziegciu, garbniku i żołędzi, do gospodarskich i innych rękodzielniczych jego potrzeb. Temi wszystkiemi przymiotami nie odznaczają się żadne inne drzewa w tak wysokim stopniu, a zatem nie zapewniają z siebie dla społeczeństwa ludzkiego tak znakomitych i tak rozlicznych jak one korzyści.

Z drzew stosujących się *do niskiego nie nadrzecznego położenia*, zasługują szczególniéj na uwagę *Świerk, Jesion i Olsza* pospolita; do *nadrzecznego*: *Brzost*, *Wiąz*, *Olsza biała i Topola-Sokora* czyli nadwiślańska; a do wysokiego czyli górskiego, jak zwykle *Jodła*, *Świerk*, *Buk i Jawor*.

Do tworzenia żywych płotów, mających ochraniać siedziby, ogrody i pola zarazem od szkodnych zwierząt, ludzi, wiatrów mroźnych zimowych, wichrów wysuszających, wiosennych burz letnich i przymrozków wczesnych jesiennych, najlepszym okazuje się *Świerk* i *Grab*, wypielęgnowane w szkółkach siewnych, a po dwu lub trzyletnim ich wzroście starannie w miejscu swego przeznaczenia zasadzone i od zniszczenia w młodości właściwemi środkami zabezpieczone. Drzewa te chociaż z natury swojéj nizinne, dobrze się przyjmują i pięknie rosną nawet na wyższych miejscach, ale koniecznie potrzeba przeznaczoną pod nie ziemię przekopać i przewrócić czyli przeregulować pasem wąskim na stopę głęboko przynajmniéj na dwa sztychy, a potem porobiwszy w niej jamki grubym kołem i wypełniwszy je czarnoziemem zmięszanym z gliną, posadzić w niej, za pośrednictwem cieńszego kołka czyli fllanculca, na przemian świerczki i grabki, w odległościach stopowych, polewając je wodę rzeczną zaraz po wsadzeniu, a nawet kilka razy i później, jeżeli pora jest sucha.

Drzewa przyczyniające się do wzrostu traw na pastwiskach, a nawet na suchszych łąkach, są: *Wierzby zwyczajne* i *białe*, posadzone, jak zwykle kołami żywemi w odległościach wynoszących około dwóch prętów.

Drzewa przykładające się do upławienia rzek, są: *Topole—Sokory*, *Wierzby zwy-*

(*) Jako dopołnienie do rozprawy *Cudowna dotęga rydla i pługa, patrz*,— Nr. 13 i 14 Zorzy z r. b.

czajne, Migdałowe, Witwy i *Brzosty*, gęsto w żywych kołkach lub w sadzonkach wypielęgnowanych w szkółkach na nizkich brzegach tychże rzek posadzone.

Drzewa zdatne do wysadzenia dróg, a przez to zabezpieczające pola od zajeżdżania i okolic od piorunów, upałów i burz letnich, i oprócz tego dające paszę w liściach i gałązkach, opał w gałęziach i budulec niezły, są głównie *Topole Kanadyjskie* i *Wierzby zwyczajne*, a na ziemi lepszej: *białe* i *żółte*.

Drzewa służące do ustalenia wydm i do zamienienia ich w piękne laski, najlepsze są *Sosny pospolite* i *Brzozy*, zasiane na nich przez przykrycie ich gałęziami sosnowemi niewysianemi z szyszkami, a potem przez podosadzanie, gdzie rzadko weszły, młodemi sosenkami i brzozkami wziętemi z zarośli gęstych podleśnych, lub z założonych umyślnie na ten cel siewnych szkółek.

Drzewa, które dają w najkrótszym czasie największą massę opałowego, a nawet budowlanego czy to chróścianego (jaki używa się szczególniej u nas w Krakowskiém), czy balowego materjału: są szczególniej *Wierzby zwyczajne białe, migdałowe, Witwy i Topole—Sokory*, oraz *Kanadyjskie*, posadzone w stanie gałązek żywych czyli sztoprów— na wilgotnych, wąwozowatych i innych im podobnych miejscach, mało użytku przynoszących, a większe przez to trawy wydawać mogących.

Drzewa tu wymienione, chociaż odznaczają się tylu i tak ważnemi użytkami, a przedewszystkiem tą użytecznością, że mogłyby w krótkim czasie zamienić, po swojem upowszechnieniu i zaprowadzeniu, gdzie się same wpraszają, tak zwane w ogólnej gospodarczości *nieużytki* w największe *użytki*, a przytém zmienić klimat zimny na ciepły, suchy na wilgotny, ostro wietrzny na łagodny, i burzliwy na spokojny: jednak nie wskazują one z siebie wszystkich korzyści, jakie mogą zapewniać człowiekowi i pielęgnowanym przez niego istotom. Dla tego zaś ich nie wskazują, że nie są one jeszcze użytkami, jakie Pan Bóg dla niego i dla nich stworzył, i że nie są wskazane w takim porządku i w takiem wzajemnem z sobą połączeniu, ażeby tworzyły podobną z innemi stworzeniami bożemi i z samymi ludźmi całość, jaką stanowić mogą i w jakiéj się nam przedstawiają w zagospodarowanych przez Boga i przez ludzi po Bogu czyli pobożnie żyjących miejscach. Miejsca te, w porównaniu z miejscami sobie przeciwnemi, to jest zagospodarowanemi bez-bożnie, lub nabożnie, tworzą tak pożyteczne, piękne, wzniosłe, i zachwycające i tak doskonałość Boga oraz człowieka zaświadczające części świata bożego, że je chyba tylko z pierwszym, założonym ręką boską ogrodem czyli rajem, bez wielkiego ubliżenia jego wzniosłości porównać można.

Ta rzecz, równie jak obraz dawnego życia naszych w ogólności, słowiańskich a w szczególności polańskich przodków, które było życiem w całem znaczeniu tego wyrazu pobożnem, bo tak jak życie boskie głównie pielęgnowaniu stworzeń bożych poświęconem, i przez to od teraźniejszego bezbożnego i nabożnego. to jest głównie wytępieniu i używaniu, bez pomnażania tych stworzeń oddanego życia (1) nieskończenie szczęśliwszem,—rzecz ta mówię zasługiwałaby na odwzorowanie, ile ją z najwzorowszych podobnych jéj rzeczy powziętą, i dopełnioną najpewniejszemi podaniami historycznemi słowiańsko-polskiemi, odwzorować można. Ale rzecz ta nie da się od razu należycie wykonać; więc na początek wypada nam ją przyjąć, jak się sama niby złożyła: czego próbę powziętą z całożyciowych naszych w téj mierze podjętych dochodzeń będziemy się starali następnie przedstawić chętnéj uwadze i wzniosłemu uczuciu zacnych i czcigodnych naszego pisma czytelników.—

(*) Przez życie nabożne i bezbożne rozumie się tu głównie życie, do którego stosuje się nasze ludowe przysłowie: „modli się pod figurą, a djabła ma za skórą“ i owocem którego jest wytępienie np. Słowian nadelbańskich, nadodrzańskich i dolnowiślańskich, a przy tém wyniszczenie turów, łosiów, bobrów, jeleni, sarn, głuszców, cietrzewi, jarząbków, pardw, kuropatw, modrzewiów, jaworów, cisów i t. p. niewinnych, słabych i najużyteczniejszych w gospodarstwie bożem i w podobnem jemu ludzkiem istot. „*Jeść i niszczyć umie i świnia, a siać i pielęgnować tylko Bóg i człowiek.*“

Przysłowie ludowe.

NIC w PRZYRODZIE NIE GINIE i NIC NIE PRZYBYWA.

Aby uwierzyć w prawdziwość tych słów, trzeba z *nauk przyrodzonych* posiadać następujące wiadomości:

1. Że *materja* przyrodę stanowiąca i wypełniająca ją, dzieli się: na *ciała organiczne*, czyli żyjące do których należą ludzie, zwierzęta i rośliny, i na *ciała mineralne* t. j. skały, kamienie i t. p.

2. Że ciała te powstają z połączenia się w różny sposób sześćdziesięciu czterech *pierwiastków* t. j. ciał pojedynczych, które już tylko z jednej materyi są złożone. (*)

3. Że z tych pierwiastków: tlen, wodoród, azot, węgiel i kilka innych w różnem ze sobą połączeniu składają ciała organiczne, wszystkie zaś wchodzą w skład ciał mineralnych.

4. Że *składem ciała* nazywa się połączenie dwóch lub więcéj pierwiastków ze sobą, dla utworzenia tego ciała; *rozkładem* zaś oddzielenie się od siebie pierwiastków ciało składających. Nakoniec

5. Że w przyrodzie w każdéj chwili odbywa się skład i rozkład różnych ciał; zkąd pochodzi, że w naturze jedne ciała przybywają, gdy natomiast drugie nikną z przed naszych oczów.

Zastanówmy się teraz nad tém, czém żyją ludzie i zwierzęta, a czem rośliny? Do życia ludzi i zwierząt potrzeba koniecznie powietrza i pokarmów. Powietrze a właściwie gaz *tlen* w powietrzu będący, czerpią oni z otaczającéj ziemię *powietrznej powłoki* (atmosfery) a natomiast wydychają gaz: *kwas węglany*, na który się tlen w płuca wciągnięty zamienił; pokarmy zaś dla ludzi i zwierząt złożone są głównie z roślin, bo choć ludzie i *zwierzęta drapieżne* żyją także mięsem, takowe jednak pochodzi ze *zwierząt roślino-żernych*, ostatecznie więc człowiek i zwierzęta spożywają pokarmy pochodzenia roślinnego.

A czémże teraz żyją rośliny? bo że żyją i umierają, mamy tego coroczne dowody. Otóż do ich życia znowu potrzeba pokarmów i powietrza, z którego w dzień wyciągają liśćmi wyrzucony przez płuca zwierzęce kwas węglowy, a przywracają mu tlen, dla oddychania znowu ludzi i zwierząt niezbędny; pokarmami dla roślin są już soki mineralne korzeniami z ziemi wyciągnięte. Ale czyż trzeba dodawać, czém głównie są te soki?—czy rolnik lub ogrodnik corocznie zasilający ziemię *nawozem* t. j. zbiorem różnych gnijących materyj i ciału już nieużytecznych a wprowadzonych do niego z pokarmem roslinnym cząstek mineralnych, nie zna celu takowéj czynności?—czy nakoniec człowiek nieobeznany nawet z uprawą zbóż i roślin, widząc codziennie wywożone z miast fury odchodów i śmieci, nie wie, że te zdaleka zabijające swym odorem nieczystości, idą na pokarm roślinom i zbożu, z którego spożywa chleb powszedni?

Wiedząc to, cudowny związek między życiem ludzi i zwierząt a życiem roślin jest już widoczny; zasadza się on na ciągłym i już od początku świata trwającym obiegu materyi z roślin do człowieka i zwierząt a od nich napowrót do roślin; materje nieużyteczne i szkodliwe jednym, służą za najlepszy pokarm drugim. Nikogo więc dziwić to nie powinno, jeżeli się dowie, że w téj oto chwili oddychą tą cząstką powietrza, która tysiące lat temu i to może na drugim końcu świata, służyła za materjał oddechowy innemu człowiekowi lub zwierzęciu, zkąd do nas przyszła przyniesiona wiatrami po zrobieniu w różnych czasach i miejscach niemałej liczby obiegów ze zwierząt do roślin i nawzajem. Niech wyjdzie z podziwu ten, kto usłyszy, że te prochy, w które się jego ciało po śmierci zamieni, może przed wieki lub laty wraz z innemi cząstkami, stanowiły ciało jakiego monarchy wielkiego, lub uczonego człowieka, a może i jakiego nędzarza.

Taki cudowny ruch cząstek i pierwiastków, z których się materja światowa składa, trwał ciągle, dziś się odbywa i do skończenia świata trwać będzie. Obieg ten utrzymuje życie, lub sprowadza śmierć wszelkich istot na świecie; życie więc materjalne jest niczem innem, jak tym nieustannym ruchem oraz składem i rozkładem cząstek materyi

(*) Pierwiastki te opisane były dokładnie w Zorzy roku zeszłego.

świat stanowiącéj. Różne przyrządy (organa) ciał organicznych jak: płuca, serce, żołądek, liście, kora, korzenie i t. d. są to jakby chemiczne przyrządy, w których odbywa się ciągły skład i rozkład cząstek owéj materyi, która jedném słowem Najwyższego raz w pewnej ilości stworzona i *siłami spajającemi* lub też *rozdzielającemi* obdarzona, nie marnuje się ani nie pomnaża, ale będąc w ciągłym ruchu, tu się spaja, tam rozdziela, znowu skupia i znów rozdziela, tworząc podczas tego krążania tysiące ciał i związków, i sprawując przeróżne zjawiska.

Zkądżeby ludzie i zwierzęta dochodzili do zupełnego rozwoju cielesnego, zkądżeby się nasze dęby i sosny tak szeroko i wysoko rozrastały, gdyby się w nich nie skupiały cząstki materyi światowéj? Gdzieżby się natomiast mieściły i podziewały wydawane ciągle przez istoty żyjące, odchody i odpadki — a przez rośliny corocznie przynoszone i opadające z nich liście, owoc i gałęzie, gdyby się przez gnicie nie rozdzielała materja, z której są utworzone? Nawet ta marna ślina, którą wypluwamy, lub drobny i nic nieznaczący listek, nie giną ale rozkłają się podczas gnicia na cząstki, które znów z kolei śpieszą zasilić jaki nowy twór Boży. Powie może nie jeden, że ze śmiercią drogich nam istot koniecznie nam coś ubywa. Prawda, ale ten ubytek my tylko sercem czujemy, a materja przyrodę stanowiąca ani na tem traci, ani się nie wzbogaca, tylko się przerabia cudownym i dla ludzi naukowych już znanym sposobem. Jedna tylko dusza ludzka, jako do przyrody nie należąca, nie ulega zmianie, ale jaką jest w człowieku, taką śpieszy po za granice przyrody na Sąd Najwyższego. *J. Al.*

RÓŻNOŚCI.

Ślimaki Szwajcarskie. (*)

W kraju takim jak Szwajcarja, gdzie zarówno skład ziemi jako też stosunki gospodarcze nieprzyjazne są utrzymaniu zwierzyny, mimo to chętka do polowania jest ogólną, gdyż co Szwajcar to strzelec, a z tego powodu i brak zwierzyny ogólny. Z wyłączeniem polowania w urwistych górach, któremu tylko strzelcy na giemzy (rodzaj dzikich kóz) obeznani z miejscowością, oddawać się się mogą, szwajcarskiemu myśliwstwu mało dziś pozostaje do roboty i nie dalekie są czasy, w których zając zniknie tak bez wieści jak kozioł w Alpach. Zwierzyny drobnéj jest jeszcze w Szwajcaryi pod dostatkiem; lecz ta głównie w zwierzyńcaąh chowaną bywa; w handlu zaś wywozowym znaczne zajmuje miejsce Ślimak. Ten mały skorupiak był już znany przed wiekami u Rzymian jako delikatna potrawa i był u nich tak wysoko ceniony, że urządzali wyłączne zakłady do ich tuczenia. Wielka ilość białka w mięsie tego rodzaju ślimaków, czyni je bardzo pożywnemi, i w dawnych czasach zupa ślimakowa na wszelkiego rdzaju cierpienia a mianowicie na suchoty była przez lekarzy przepisywaną za granicą. Na pokarm używany bywa ślimak tylko w katolickich krajach w w czasie trwania postu. Obrządek katolicki, ktory w tym względzie jest mniej surowy niż grecki, pozwala w czasie postu na używanie mięsa zwierząt zimnokrwistych jako to: ryb, żab i ślimaków. Ponieważ skutkiem powtarzania się każdotygodniowie Piątków i Sobót, kościół zaleca jeszcze wiele innnych dni postnych, ztąd w tych krajach ślimak ma wielkie kuchenne znaczenie mianowicie po klasztorach, gdzie je też sławnie niegdyś przyrządzano. Zbieranie ślimaków w Szwajcaryi odbywa się w jesieni, a głównie ich siedliskiem są góry od 2000 do 4000 stóp wysokie. Klasztor wysyła w miesiącach Sierpniu i Wrześniu codziennie kilku laików, którzy połowem kierują i ściągają wyganiaczy t. j. młodzież szkolną ze wsi górskich okolicznych. Najlepsze dnie na to polowanie są po ciepłym deszczu, który wywabia te stworzenia z ich kryjówek. Dla młodzieży szkolnéj są tego rodzaju wycieczki dniami świątecznemi. Wybiegają z radosnemi okrzykami opatrzeni w kosze i kije, laicy podążają za nimi; oswietlenie jesienne rozlane po całéj okolicy górzystéj,— wszystko to razem byłoby ślicznym wzorem dla malarza. Zwierzątka te zbierają się dziennie tysiącami; obciążeni połowem ło-

(*) Tłómaczenie z Niemieckiego.

wcy wracają wieczorem do klasztoru, następnie składają ślimaki w ogrodzie, gdzie je tuczą. Na ten cel przeznaczony zostaje zagon ziemi wysokiemi na 4 stopy deskami ogrodzony, a wewnątrz układają mur ułożony z wiorów, ażeby im odwrot odciąć. W tem ogrodzeniu leżą ślimaki tysiącami na kupie i bywają żywione kilkakrotnie dziennie. Nieprawdopodobną zdaje się żarłoczność, jaka w téj zagrodzie panuje: największe kosze sałaty i jarmużu nikną w jednéj chwili, i chociaż te zwierzątka małe szczęki mają, poruszenia ich i ogromna liczba żarłoków wydyje szmer, który na kilka kroków w oddaleniu słyszeć się daje.

Z nastaniem pierwszyzych mrozów zamykają im skorupki klapką z węglanu wapna, po za którą w klasztornéj ciszy zimowy sen odbywają. Ta chwila używą bywa do przeniesienia ich z raju ogrodowego do piwnic, w których jak kokony jedwabnicze rozkładają się, a następnie używają na pokarm. Przyrządzanie ich jest bardzo wyszukane i każdy klasztor ma niemal swój oddzielny sposób. Zawsze jednak żywcem do wody wrzącéj się wrzucają, przyczem wydają pół śpiewny, pół świszczący szelest.

Prócz klasztorów, trudnią się ich połowem przemysłowcy i prowadzą niemi dosyć znaczny wywozowy handel do Włoch, gdzie znowu idą na potrzeby klasztorne. Ślimak podróżuje często dosyć daleko, aż do Włoch południowych; ponieważ zaś tylko w czasie snu zimowego może być wysyłany, podróżuje przeto jak angielscy panowie, bez korzyści i przyjemności. Handel ten wywozowy ma swoje siedlisko w Szwajcaryi wschodniéj w kantonach Sę-Gallen, Graubynden i Glarus. Zwierzątka bywają wysyłane w mocnych beczkach okutych żelaznemi obręczami, a powód tego opakowania jest ten, że w przewozie przez wąwozy gór Alpejskich, gdzie letni wietrzyk powiewa, serca niewolników odżywiają wiosenną nadzieją, a z tąd siła i chęć wydobycia się na wolność. Podróż z niemi odbywa się zwolna, a skoro beczki składają na południu Włoch w magazynach, odrywają im wieko, budząc je z letargu. Slimak jest słaby, ale w gromadzie jest mocny i podczas przewożenia ich wozami nieraz wydobywały się tłumnie z beczek szczelnie zamkniętych..., Lud protestancki nie jada ślimaków, gdyż ma wstręt do tego, jak utrzymuje, nieczystego stworzenia.

F: H.....l.

Kamień sztuczny budowlany tak zwany *beton Koaniego*, gdyż przez Koaniego Amerykanina został ulepszony, — niezadługo ma się wyrabiać i w Warszawie. Kamień ten, zanim stwardnieje, stanowi jakby ciasto złożone z mięszaniny większéj ilości piasku a mniejszej wapna hidraulicznego czyli podwodnego, (*) z dodaniem w miarę potrzeby mniejszéj ilości ciężkiego cementu odpowiednio i wyłącznie na ten cel przeznaczonego. Jest to więc kamienne ciasto, które przy wyrabianiu się może przybierać różne formy nawet ozdobne, i ma tę własność, że po stwardnieniu, które szybko następuje, wystawione na działanie powietrza, zamiast osłabiać ciągle się polepsza, twardnieje, jak to się zazwyczaj z zroztworami wapiennemi dzieje. Ciasto więc takie może być użyte do przygotowania kamieni budowlanych, jak *np.* cegły, lub ciosowe kamienie. We Francyi wystawiono już wielki Kościół z tego kamiennego ciasta, oprócz kanałów, rur wodociągowych i innych budynków, a w Petersburgu i Moskwie wybudowano już z niego parę domów piętrowych, dosyć mostów do kolei żelaznych, podkładów do maszyn, podłóg i t. p. Przekonano się już na próbach, że kamień ten szybko twardniejący, w miesiąc po przygotowaniu go potrafi znieść ciężaru 4,700 funtów (czyli pudów 115) na cal kwadratowy, a po przejściu kilku miesięcy moc ta tém się okazuje, że może znieść 8,000 funtów na takiż cel, —czego nawet ciosowy kamień dokazać nie może. Otoż dla tej mocy i jednolitości kamienia tego, oraz, dla łatwości zrobienia go na każdém miejscu, a ztąd i dla taniości, *beton Koaniego* uważają za nader ważny wynalazek, którego przyszłość czeka wielka we wszelkich tych budowlach

(*) *Wapno hidrauliczne* różni się tem od zwyczajnego, że zawiera w sobie obce części, mianowicie glinę i piasek.

nawet ze sklepieniami, które tylko mogą być wzniesione z cegły lub kamienia choćby i ciosowego. Jest on nawet lepszy od ciosu, bo dłużéj się oprze wszelkim powodom zniszczenia przez mróz, słoty i wilgoć. Szczególniéj, dla swéj nieprzenikliwości beton *Koaniego*, jest użyteczny na dachy, dla wszelkich robót pod-wodnych, wodociągowych i t. p. Towarzystwo fabrykacji tego kamienia rozgałęzione w Anglji, Rossij, Francji, Belgji, Włoszech i innych krajach, ma swego ajenta głównego w Warszawie p. Rouquaud (czytaj: Ruko), który mieszka przy Alei Jerozolimskiéj Nr. 1574*b* dom Lota, i który ma wktótce urządzić tę sztuczną kamienną fabrykację.

DWA KONIE

(Przypowiastka).

Gdy się skarżył koń cugowy,
Że mu cierpną często nogi,—
Fornalski rzekł temi słowy:
— Nie dziw, bo to od podłogi!
Ja, co stawam na barłogach,
Nie doznaję drętwień w nogach.

F. Mikorski.



Kmotr Gabryś.

— Mój kum Rzeźnik, ile razy przechodzi ze mną Krakowskiem-przedmieściem około pomnika Kopernikowego, zawsze panie-tego, powiada, że gdyby nie okoliczności to byłby tak samo sławnym człowiekiem jak ten wielki astronom. Spytałem się go raz, jakie to okoliczności byłyby mu potrzebne do tego? A on rzekł: Ha! potrzebaby na to drugiego słońca, i drugiéj ziemi, to kto wić, czybym tak samo nie pokazał ludziom, że ziemia naokoło słońca a nie słońce około ziemi się obraca.

—To prawda! ja mu na to, zkąd tu wziąć drugiego słońca,—no, ale jeżeli już nie wielkim Kopernikiem to przynajmniej, panie-tego Wielkim Rzeźnikiem łatwo zostać możesz, mój kumie.—A to jakim sposobem kmoterku? zapytał.—Ha! bardzo łatwo: dokaż tylko tego, żeby twoi czeladnicy nie tłukli tak łby cielętom o wasąg, jak je przewożą po tutejszym bruku, albo też każ zraz chociaż tak samo na próbę związać czeladnika jak cielaka i rzuć go na wóz tak, żeby mu się łepeta po kołach waliła, a zobaczysz i jak cię świat cały już dla tego samo nazwie Wielkim-rzeźnikiem.

— Ale kiedym, panie-tego, wpadł na tor o Koperniku. to chyba opowiem państwu, jak to raz trzej akademicy warszawscy przybyli w podróży do gościńca, a wszyscy mocno zgłodniali. Dano im na półmisku dwa gołąbki pieczone i jedno spore kurczę. Obyczajność jednak tak kazała, aby każdy panie-tego, brał dla siebie to, co przed nim leżało. Jeden z nich miał apetyt na owego potężnego kurczaka, który ku jego koledze był obrócony. Ale że jakoś nie chciał się po grubijańsku znaleść i wydać z tą chętką, więc wziął się na sposób i zaczyna panie-tego, rozmowę o różnych dowodzeniach ludzi co do obracania się słońca i ziemi, i powiada, że on dowodzenie Kopernika nad wszystkie inne przenosi. Bo uważacie tylko sobie, kochani koledzy, rzecze, jak to jest prosta i naturalna nauka. Wystawcie sobie naprzykład, że półmisek ten, jest ziemią, a Kopernik tak jéj obrot naznacza. To gdy mówi, obraca panie-tego, półmisek, i stawia kurczaka prosto przed siebie. Zrozumiał ten przebieg kolega, który równie miał na to samo apetyt i rzekł:— Prawda to jest, że nauka Kopernika jest powszechnie poważana i przyjęta, ale ja się wolę trzymać dawnego dowodzenia, według którego ziemia nieporuszona w miejscu stoi. To rzekłszy obrócił nazad, tak jak stał pierwéj półmisek, kurczakiem prosto do siebie, i panie-tego, dostał najlepszy kąsek.

Zagadka.

Zarżniemy wołu: głowę oderżniemy i zjemy, skórę obedrzemy, a mięso się wala—i psy go jeść nie chcą?

Przeszła zagadka (*Rdzeń drzewa*).

MYŚL.

Nie ten jest samolubem, kto od ludzi stroni,
Ale ten, kto za bliźnim jak za łupem goni.

Redaktor i Wydawca Józef Grajnert, pod Nr. 24 (nowym) ulica Nowy Swiat. — W druk. I. Krokoszyńskiego.—
Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.